

DUKAJ

A dark, industrial sci-fi scene. In the center, a person in a red jumpsuit is floating in a glowing red tunnel. The tunnel is surrounded by complex machinery, pipes, and wires. The overall atmosphere is mysterious and futuristic.

OKO POTWORA



JACEK
DUKAJ

OKO
POTWORA

WYDAWNICTWO LITERACKIE

© Copyright by Jacek Dukaj
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2026

Wydanie pierwsze w tej edycji
Tekst oparty na: Jacek Dukaj, *Król Bólu*, Wydawnictwo Literackie, 2010

Opieka redakcyjna serii
Anita Kasperek

Redakcja i korekta
Paweł Ciemniowski, Tomasz Kunz, Urszula Srokosz-Martiuk,
Anna Rudnicka, Małgorzata Wójcik

Projekt okładki i stron tytułowych
Tomasz Bagiński

Ilustracje na okładce i wyklejce
Michał Niewiara

Opracowanie okładki do druku
Marek Pawłowski

Redakcja techniczna
Robert Gębuś

Wydawca zakazuje eksploatacji tekstów i danych (TDM), szkolenia technologii lub systemów sztucznej inteligencji w odniesieniu do wszelkich materiałów znajdujących się w niniejszej publikacji, w całości i w częściach, niezależnie od formy jej udostępnienia (art. 26 [3] ust. 1 i 2 ustawy z dnia 4 lutego 1994 r. o prawie autorskim i prawach pokrewnych [t.j. Dz.U. z 2025 r. poz. 24 z późn. zm.]).

Printed in Poland

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: księgarnia@wydawnictwoliterackie.pl
tel.: (+48-12) 619 27 70
Skład i łamanie: Nordic Style
Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza im. W.L. Anczyca

ISBN 978-83-08-08901-9

SPIS TREŚCI

5	I. Bunt
17	II. Rozprawa
23	III. W ukryciu
34	IV. Kwiaty Ziemi
52	V. Narada
68	VI. Wśród ruin
99	VII. Pierwszy
115	VIII. Wtajemniczenie
135	IX. Rozmowa
155	X. Powrót z gwiazd

Sterownia wyglądała jak sala tronowa. W szklach martwych ekranów zobaczył się jak w lustrze (...). Na wzniesieniu stały budzące rozmiarami szacunek fotele pilotów, zwaliste, z siedzeniem w kształcie głębokiego negatywu ludzkiego ciała — zapada się w nie po pierś. (...) Pianowa wyściółka poręczy zmurszała od starości. Kalkulatory — takich jeszcze nie widział. Ich twórca musiał się zapatrzeć w organy. Zegarów na pulpitach było jak maku — trzeba by mieć ze sto oczu, aby je naraz ogarnąć. Odwrócił się wolno. Szedł oczami od ściany do ściany, widział płataninę łątanych kabli, skorodowane płyty izolacji, żelazne koła ręcznego opuszczania hermetycznych grodzi, wyświechtane od dotyku rąk, spłowiałą czerwień rozrzędu gaśnic — wszystko było tak zakurzone, tak stare...

Stanisław Lem, *Terminus*

KARKUŁOWSIAŁ ZWARTUSIAŁ
RATUWSIANKU BOŻYWSIO

Stanisław Lem, *Dzienniki gwiazdowe*

I. BUNT

Trzy dni po opuszczeniu orbity Marsa CSS „Behemot V” otrzymał morsem ostrzeżenie o nadchodzącej burzy słonecznej. Nawigator obliczył nową trajektorię, pozwalającą zejść w porę w pas asteroidów i osłonić statek masą skalną; mieliśmy potem dopędzić Jupitera na tej samej elipsie, po dodatkowych akceleracjach. Stos atomowy, stary model lunarny, sprawował się dobrze, „Behemot” dysponował zresztą zapasem paliwa na cztery akceleracje do kursowej. Już po zmianie kursu Nawigator odkrył, że w obliczeniach był błąd. Rozmontowawszy z Elektronikiem i Inżynierem kalkulator pokładowy, znalazł na świeżo lutowanych układach popalone kłębki włosów, kulki kurzu bądź wełny. Była to oczywiście wina Elektronika, który się upił na wychodnym w bazie na Dajmosie i dręczony kacem nieważkościowym nie dopilnował techników przysłanych dla okresowych reperacji ze stoczni marsjańskiej. Trzeba było na gwałt nowe obliczenia wykonać, już dla z góry tak nieszczęśliwie ustalonego wektora. Kapitan, Nawigator i Pierwszy Pilot ślęczeli nad nimi całą nocną wachtę. Wyczyszczony kalkulator dla odmiany się przegrzał; Elektronik własnymi rękoma okładał rozpalone lampy próżniowe maszynowego mózgu szmatami

z suchym lodem, parząc się przy tym dotkliwie. Przyszedł do mnie z tymi poparzeniami. Dałem mu maść i obandażowałem dłońe. Teraz już będzie zupełnie do niczego nieprzydatnym.

Nazajutrz przyspieszaliśmy kwadrans z 1g i kilkakrotnie na mocniejszym ciągu w krótszych zrywach. Zostałem w łóżku, czytając prasę fachową podjętą z Dajmosa, dopóki mi ramię nie omdlało. Pod wieczór byliśmy już na nowym kursie, z powrotem w nieważkości. W mesie, półmrocnej od dymu papierosowego zasysanego niemrawo przez zdezelowane wentylatory, gadaliśmy przy kolacji o wieściach o wojnie. Związek Radziecki już zamknął swoje stacje i punkty przeładunkowe dla statków pod zachodnimi banderami; na Dajmosie mówiło się o ostrzegawczych laserunkach, a nawet o sabotażu jakichś składów tlenu pod Olympus Mons. Kto miałby je sabotować? Strony oskarżały się wzajemnie. Radiowiec twierdził, że potem nic już nowego nie poszło w eter, Luna Jeden przestała zresztą przekazywać biuletyny polityczne. Długo tłumaczył Drugiemu Pilotowi, dlaczego nasza kompania nie powinna się przejmować tymi perturbacjami. Na kolacji pojawił się także Pasażer, zazwyczaj proszący o dostarczenie mu posiłku do kabiny. Próbowałem wciągnąć go w rozmowę; odpowiadał półsłówkami. Może istotnie z nieśmiałości. Ma paszport z Zachodnich Niemiec i płaci gotówką. Pierwszy Pilot utrzymywał, że rozpoznaje u niego akcent Afrykanera. Na pewno wyróżniał się Pasażer cerą; smagły i w ostrych zmarszczkach od słońca — a my: blade robaki próżni. Radził sobie jednak z jedzeniem w zero gie wcale dobrze. Palił marlboro.

Kapitan wezwał mnie do sterowni, chciał obliczeń siły tego sztormu i oceny zagrożenia zdrowia załogi. Gdy przyszedłem, sterownia była akurat pusta. Na ekranach srebrzyły się gwiazdy,

małe Słońce rozjaśniało boczny monitor rufowy, cienie pełzły smolnymi smugami od prawej ku lewej. Tysiące świateł migotały na panelach kontrolnych, nigdy nie udało mi się zapamiętać, o czym tu informuje która lampka, i pewnie właśnie dlatego tak mnie uspokaja ów widok, widok i cisza kabiny sterowniczej taktowana mechanicznym tętnem masywnych zegarów kalkulacyjnych. Ciszę mącił także furkot papierów z obliczeniami Nawigatora, przypiętych metalowym klipsem do obudowy mózgu elektronowego: trzy wiatrakowe wentylatory umocowano tam w miejscu zdjętej okrywy, ażeby chłodziły wnętrze maszyny myślącej. Prąd powietrzny biegnący od niej przez sterownię obrócił mnie powoli i pochwyciłem obraz sylwety małpiej skrytej w cieniu za szafami z kartami astrograficznymi i mapami fotogramometrycznymi: wielki chochoł żelazny, pałuba ludzka-nieludzka na nogach hydraulicznych. Ach, więc nie człowiek, lecz automat człekokształtny, ten Marabut megawatowy, którego Kapitan przejął był za niespłacone długi od spółki górniczej z Merkurego. Włączony? Wyłączony? Sądziłem, że trzymamy go gdzieś w górnych ładowniach wewnętrznych. Ogniste ślepie pulsowało w powolnym rytmie nad głową lasera wyzierającą spod purpury chromowo-korundowej płyty piersiowej automatu — włączony zatem. Za plecami zaskrzypiały przekładnie zegara kursowego, obejrzałem się. Zawisły przy zegarze Kapitan kartkował tablice astrometryczne, zerkając co rusz w rachunki Nawigatora.

— Na co on tu, Kapitanie? — spytałem, wskazując Marabuta.

Kapitan tylko przyłożył palec do warg.

Dałem mu rachuby napromieniowania (bardzo pesymistyczne) i wróciłem do siebie, głowiąc się już i nad tym Marabutem, i nad zachowaniem Kapitana, i nad obecnym położeniem „Behemota”,

które wtem, w owym krótkim rozbłysku aury tajemniczości, ukazało mi się dziwnym i bardziej jeszcze niepokojącym.

Statek zgrzytał, świszczwał, huczał, szło to długim echem w jego metalowych kościach, jak zawsze po seriach przyspieszeń – budziłem się z płytkiego snu wciąż i wciąż. W końcu zasnąć nie mogłem wcale. Naciągnąłem podwójne skarpety, zabrałem termos ceresowego samogonu i zapukałem do Radiowca.

Długo czyścił łatką irchy grube szkła okularów.

– Na straży?

– Więc skoro Kapitan ma takie powody...

Rozbieraliśmy to na czynniki pierwsze w żółtym świetle nagiej żarówki, ssąc przez słomki zimny alkohol, zapatrzeni w gwiazdy migoczące na czarno-białym ekranie-bulaju.

– Może Pasażera...

– Ale do asteroidów? Cóż tam, górnicy jacyś na kursie?

– Przez tę wojnę w takim razie.

– Mhm.

Radiowiec chwycił żeliwny teownik koi i podciągnął się pod sufit, do półki ze starymi almanachami i katalogami. Odnalazłszy wolumen, zawiesił go przed sobą w powietrzu i kartkował powoli, podwinawszy pod się nogi.

– Aha. No tak. – Pokazał mi schematy układów naszego kalkulatora. Nic nie zrozumiałem. On kiwał głową, już trochę po pijacku. – Dałoby się. Chyba. Taką awarię-pomyłkę.

Dumaliśmy następnie aż do dna termosu, kto i po co miałyby sabotować główny mózg pokładowy CSS „Behemota V”, aby sprowadzić frachtowiec z kursu na śmietnisko układowe. Sabotażysta musiałby wszak wpierw przewidzieć nadejście burzy słonecznej.

– Jakie niesiemy cargo?

– Głównie biomasa dla habitatów jupiterowych.

– Któż by się połasił?

Była to już godzina przed pierwszą wachtą. Radiowiec uśmiechał się sennie niczym lewitujący Budda, mnie krążenie zamierało w stopach, masowałem nogi, ziewając.

– Piraci! – chichotał Radiowiec, a kropelki śliny lub samogonu drżały mu na wąsach. – Kosmiczni piraci!

Zwątpilem.

Następnego dnia po śniadaniu Kapitan zwołał załogę na odprawę. Czyli wszystkich prócz Pasażera; nie pojawili się jednak Nawigator ani Elektronik. Elektronik pewnie spał po pastylkach przeciwbólowych, ale usłyszałem, że i Nawigator wymówił się chorobą – o tej dolegliwości nie raczył mnie powiadomić. Zaraz potem udałem się do niego. Nie chciał otworzyć. Drzwi kabiny zaryglował od wewnątrz, nie odpowiadał na wywołania przez głośnik. Wszystko to było coraz bardziej dziwne.

Zaszedłem znów do Radiowca. Nie miał wiele do roboty, skoro huk Słońca zagłuszał już całą długodystansową komunikację; sortował stare radiogramy. Pracownię nasłuchową wyłożono grubą izolacją dźwiękową, nawet przeciągłe pojękiwania metalu kadłuba tu nie dochodzą. W ciasnym pomieszczeniu wisiała woń sparciałej gumy.

Radiowiec zamknął drzwi, wyłączył instalację foniczną.

– Myślałem o tym od rana – rzekł ściszym głosem. – Bierzemy przecież te kontenery według manifestu frachtu, sami nie sprawdzamy zawartości, bo i jak? Burze słoneczne występują niezupełnie przypadkowo, ale jednak w pewnym kalendarzu probabilistycznym, są pory mniejszego i większego zagrożenia. A obecnie

znajdujemy się w szczycie jedenastoletniego cyklu słonecznego. Już od dłuższego czasu na równiku Słońca grupują się wielkie plamy. Pierwszy wyrzut masy z korony nastąpił dwa tygodnie temu, postawiono wachty alarmowe w obserwatoriach astronomicznych. Teraz poszedł rozbłysk z wyrzutu o temperaturze pięćdziesięciu, sześćdziesięciu milionów kelwinów, po spektrum widzialnym, i po rentgenowskim oraz gamma. Na Ziemi podziwiają przepiękne zorze. Łączność radiowa kompletnie tam zagłuszona, podpalona jonosfera, pasy Van Allena zmiotło, połowa satelitów usmażona, byle żelastwo indukuje prąd. Więc odcięci. A w pasie asteroidów masz dziesiątki albo już i setki prywatnych habitatów, często po prostu zahermetyzowanych jaskiń, trudno o lepsze miejsce do przeładunku kontrabandy w kosmosie, słyszy się o tym w portach, w plotkach na falach.

— Ale nawet jeśli sprowadzi nas tak sprytnie do swojej kryjówki w planetoidach — jakżeby miał dokonać przeładunku bez naszej wiedzy? Jakżeby w ogóle miał go dokonać z nami na pokładzie?

— Toteż właśnie. — Tu Radiowiec nachylił się ku mnie, łamiąc pion. — Zjadłeś tę jajecznicę? Wyplułem wszystko! Herbatę gotuję u siebie na spirytusowej. Mam trochę sucharów i puszkowanej wołowiny.

Żachnąłem się.

— To już jest paranoja! — A podrapawszy się po krótko ostrzyżonej głowie: — Mhm. To kto dziś gotuje?

— Inżynier.

Zrobiliśmy niepoważne miny, po czym roześmialiśmy się wraz.

— Wiem, wiem. — Rozłożył ręce. — Po ilu tygodniach w trasie każdego to dopada, załoga „Kaliguli” ponoć badała sobie co

godzina krew, przekonana, że wlaż w nich jakiś tajemniczy wirus, a ci na „Justynie XI” urządzali regularne przesłuchania i tortury; cholera wie, czy taki nie był też koniec „Santa Clary”.

– Trzeba jakoś rozładować napięcie. My z Kapitanem i Pierwszym Pilotem znamy się od lat, ale reszta...

– Tak, tak, brat przeciwko bratu i strachy rosnące w milczeniu na nocnych wachtach, konspiracje zapisane w gwiazdach na ekranie.

– Zaraz się tu podzielimy i zacznie się –

– Cicho!

– Co?

Radiowiec przechylił głowę, nasłuchując. Nastawiłem uszu – nic. Podpłynął do drzwi, obrócił koło śrubowe, pchnął –

Syrena alarmu ręcznego wyła przeciągle, zachłystując się co drugi skowyt. Alarm automatyczny oznaczałby dehermetyzację statku albo zagrażającą życiu awarię stosu; alarm ręczny mógł włączyć tylko dowódca, jego zastępca lub oficer wachtowy. Popędziliśmy zatem do sterowni, objijając się o ściany, kanty i nagie szczęki grodzi. Zachlapane starą farbą lampy alertowe błyskały czerwono i żółto, a gdzieś w trzewiach „Behemota”, w siłowni bądź na sprzęgach mocowników kontenerów, metal tarł brutalnie o metal, generując wizgi i piski, od których cielsko statku wzdrygało się histerycznie. W korytarzu dowódczym zderzyliśmy się z Elektronikiem – z rękoma obandażowanymi w bezużyteczne pecyny utknął w przewężeniu, ciśnięty w gródź nogami w przód niczym rażona prądem rozgwiazda. Radiowiec poholował go za szelki.

W sterowni zastaliśmy obu Pilotów, wpięci pasami przeciążeniowymi w wysokie fotele obserwowali obrazy rzucane na główne

ekrany. Światła w kabinie były wyłączone, blask bił tylko od pulpitów rozrządczych i gwiazd z tych ekranów. Wpiąłem się po omacku w fotel po lewej. — Gdzie Kapitan? — Tam — odparł Pierwszy Pilot i wskazał fajką na górny ekran. Ktoś tymczasem wyłączył alarm i usłyszałem ich oddech ciężki, wyrzucany z płuc na znak wielkiej ulgi bądź wielkiego napięcia. Na ekranach widniała przysłoneczna powłoka „Behemota V” i odbywał się tam wyścig próżniowy człowieka i człowieka, i maszyny.

„Behemot V” jest frachtowcem klasy Pompeje, zbudowanym na szkielecie zeszlowiecznych masowców-pchaczy, co znaczy, iż główną partię towaru mieści nie w ładowniach wewnętrznych, lecz pcha przed sobą. Z uwagi na profil osłony przeciwmeteorowej oraz standard sprzęgów — które winny trzymać ładunek w kupie nawet pod wektorami przyśpieszeń 20 g, i to przykładanymi w najosobliwszych kierunkach — cała konstrukcja przypomina grubego nabój karabinowy lub ucięte w dwóch trzecich cygaro. Z obecnym ładunkiem „Behemot” miał 397 metrów długości, z czego ponad 300 liczyły same kontenery z cargo; za nimi, pod mocownikami i pierścieniami anten, krył się tułów właściwego „Behemota” (135 tysięcy ton metrycznych masy spoczynkowej), zakończony gotycką płataniną rur, zbiorników, radiatorów i dysz. Osłony przeciwmeteorowe wieńczyły przeciwny koniec statku i zmieniano je każdorazowo przed opuszczeniem orbity portowej, w zależności od przewidywanej trasy podróży. Załogi zazwyczaj umieszczają na ich czarnych tarczach piktogramy charakterystyczne dla jednostki. My od czasu wypadków na Io malowaliśmy biały łeb jednookiego bałwana.

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki

RETRO SF JAK Z WCZESNEGO LEMA

„Behemot V”, ciężki frachtowiec kosmiczny, w drodze z Marsa do Jowisza niespodziewanie schodzi z kursu i tak natrafia na ukrytego w pasie asteroidów Astromancera: latającego Holendra próżni, legendarne źródło niemożliwych wynalazków i obłędnej sztuki. Zejście z kursu nie było jednak przypadkowe: ktoś zsabotował kalkulator pokładowy.

Zagłębiając się w szalone labirynty Astromancera, członkowie załogi „Behemota” pogrążają się w paranoi – każdy każdego podejrzewa. Umysły ludzi zaraża maszynowy chaos. Co czeka na nich w jego epicentrum?

„MASZYNA TO GRZECH CZŁOWIEKA”

Czy postęp ma granicę? Czy też dla każdej cywilizacji technologicznej można pomyśleć cywilizację jeszcze wyżej rozwiniętą?

Czy są takie odkrycia, do których nie da się dojść na drodze logicznego rozumowania, a jedynie – wyszarpnąć je z chaosu?

Mózgi Boltzmanna to inteligentne byty, które powstały nie wskutek ewolucji bądź z czyjegoś projektu, lecz spontanicznie z chaosu. To opowieść o jednym z nich.

CHAOS PRZECIWKO ROZUMOWI

Po której stronie powinien stanąć człowiek?

Na podstawie *Oka potwora* w studiu Dukaj Games powstaje gra komputerowa *Astromancer*.

JACEK DUKAJ (ur. 1974) – autor m.in. *Innych pieśni*, *Perfekcyjnej niedoskonałości*, *Lodu*, *Wrońca*, *Imperium chmur*, *Starości aksolotta*, na podstawie której powstał serial *Into the Night* (Netflix 2020), *Serca ciemności*, czyli spolszczenia *Heart of Darkness* Josepha Conrada, eseju-rzeki *Po piśmie*. Laureat wielu nagród, m.in. Nagrody Fundacji im. Kościelskich i Europejskiej Nagrody Literackiej. Jego utwory zostały przetłumaczone na 20 języków.

dukaj.pl

cena 59,90 zł

ISBN 978-83-08-08901-9



WYDAWNICTWO
LITERACKIE

 **DUKAJ GAMES**